

The background is a deep blue, adorned with a rich border of decorative elements. At the top left, there are clusters of bright orange flowers with green leaves. To the right, a single peacock feather with a prominent 'eye' is visible. Further down on the right, there are blue daisy-like flowers and more green foliage. The bottom left corner features more orange flowers and green leaves. The entire scene is framed by elegant, golden-yellow scrollwork and vine patterns that swirl across the blue background.

Olga Kobyłańska

W NIEDZIELĘ RANO
ZIELE ZBIERAŁA

A detailed illustration of a peacock is the central focus. The peacock is shown in profile, facing left, perched on a small, dark, textured branch. Its body is a vibrant blue, transitioning into green and yellow on its wings. The most striking feature is its long, flowing tail, which is a deep emerald green and is covered in numerous 'eyes'—teardrop-shaped patterns with yellow and blue centers. The peacock's head is also blue, with a small crest of feathers on top.

BUKOWY LAS



*Oj, nie chodź, Hrycu, na wieczornice.
Bo na wieczornicach dziewczyny czarownice,
Stomę palą i ziele warzą,
Ciebie, Hrycu, siły i zdrowia pozbawią.
Tamta jedna czarnobrewa
To prawdziwa czarownica!
Co zna ziele i z zadróści szłocha,
Bo ciebie, Hrycu, bez pamięci kocha!
W niedzielę rano ziele zbierała,
W poniedziałek je ptukała,
We wtorek ziele warzyła,
A w środę rano Hryca na zawsze uspiła.
W czwartek Hryca wszyscy żalowali,
A w piątek już go szybko pochowali.
Pogrzebali Hryca blisko granicy,
Płakały za nim dziewczyny i młodyce.
I chłopcy Hryca żalowali,
Czarnobrewą wszyscy przekłinali.
Nie ma i nie będzie drugiego Hryca,
Co go wygoniła z tego świata czarownica!*

*W sobotę rano matka już wyczula,
Że córka Hryca ziołami otruła,
Nie wiedziała, co takie ziele może,
Że Hryc skona, nim mu ktoś pomoże.
„Oj, matko, matko! Żałowanie nadaremne –
Niechaj Hrycumio w dwóch by się nie kochał!
Oto, Hrycu, za to zapłata:
Z czterech desek ciemna chata!”*



Działo się to bardzo dawno temu. Tak dawno, że dzisiaj nikt już nie pamięta, jak się nazywała wioska, w której miały miejsce opisane wypadki. Wiadomo jedynie, że było to w górach.

W kotlinie otoczonej stromymi zboczami, których wierzchołki wznosiły się niemal do samego nieba, kryła się dosyć spora wieś.

A góry te były porośnięte wiekowymi, niedostępnymi lasami...

U podnóża jednej z nich, zwanej Czabanicą, do której przyłgnęła ta wioska, wartko niosła swoje wody hałaśliwa rzeka. Jej głośny, spieniony nurt przedzierał się prędko poprzez wielkie nieruchome głazy. Rzeka okalała Czabanicę, jakby chciała ją objąć. A z samego wierzchołka góry gęstymi rzędami zbiegały w dół, jak wędrowcy, świerki. Zbiegały aż do rzeki, jeden za drugim. Znalazłszy się w dolinie, zatrzymały się tuż nad wodą.

Stały w tej kotlinie z szeroko rozpostartymi zielonymi gałęziami i uniesionymi czubami, stały i szumiały. Ale nie tak, jak dzika rzeka w dole, która głośno pluskała, hałasowała i huczała... Las szumiał na swój sposób, niepowtarzalny, odmienny.

Miarowo i smutno, trwożnie, a jednocześnie wzniośle kołysał coś w powietrzu do snu. Sam zaś tonął w żalu. Spokojnie i ostrożnie, tu cicho, a tam bezgłośnie szeptał las, ale jednym głosem. Szumiał, szumiał...

Tęskno było rosnać drzewom na tym szczycie.

Gdziekolwiek by się spojrzało, wszystko było takie samo, wszędzie było tak samo. Morze zieleni, jednostajna kołysanka, nic się nie zmieniało.

Gęste rzędy świerków na tamtej górze pięły się zawzięcie ku jej wierzchołkowi.

Następnie zbiegały z niej żywo, rozpostarłszy zielone ramiona.

I ciągle tak samo.

Latem czy zimą, w pogodny dzień czy w ulewę, nieodmienne, monotonnie. Ta sama pieśń, taki sam rytm. Ciąгла kołysanka, jednakowy szum.

Opodal rzeki stało zamożne obejście z młynem. Ogród sięgał aż do Czabanicy. Było to siedlisko bogatej wdowy Iwanychy Dubychy, dobrze znanej i w tej okolicy, i daleko poza nią.

Rzeka hałasowała, młyn huczał, sosny szumiały, a wszystko odbywało się tak samo i jednocześnie... Czy to w nocy, czy w dzień, zawsze i ciągle w jednym brzmieniu.

Świerki zieleniały, okrywając gęstym cieniem chatę bogaczki, pobożnej i srogiej gospodyni Iwanychy Dubychy.

Jej ogród pysznił się kwiatami, odkąd wydała się za Iwana Duba.

Krzewiły się do późnej jesieni, bo już od młodych lat wdowa hodowała rozmaite kwiecie. Kochała je bardzo. A kiedy owdowiała i została sama z jednym dzieckiem, zżyła się jeszcze bardziej ze swoimi barwnymi ulubieńcami. Jej ogród koło chaty byłby bez kwiatów bardziej pusty od pustyni.

Najładniejszymi i najbujniejszymi wydawały się okazałe czerwone maki, które zimowały w glebie. I nikt w całej wsi nie miał takich cudownych kwiatów jak Iwanycha Dubycha.



Pewnego razu do tej wsi okolonej górami zawitali Cyganie*. Ku wielkiemu zdziwieniu mieszkańców pojawiła się cała ich gromada. Przyjechali kilkoma wozami naraz. Pozostawili za sobą wiele miast i wsi. Powracając na Węgry, rozbili namioty właśnie tutaj, opodal węgierskiej granicy, w sąsiedztwie góry Czabanicy, w niewielkiej odległości od wiejskich zagród. Przebywali tam już od kilku dni.

Mieszkańcy nie byli z natury ludźmi płochliwymi, lecz widok tych smagłych, nieproszonych przybyszów bardzo ich zatrwożył. Od dawna opowiadano o nich historie, które nie mogły się spotkać z życzliwością słuchaczy. Już pewna legenda, głosząca o postępkach Cyganów, czyniła z nich nieprzyjaciół. Powiadano, że ich przodkowie nie udzielili schronienia Marii, która uciekała wraz z dzieciątkiem i Józefem. Nie wszyscy najpewniej znali tę legendę, mimo to Cyganie nie byli mile widziani wśród mieszkańców wsi. Wszystkim natomiast było wiadomo, że mieli oni w górach, w różnych miejscach, tajemne schowki i kryjówki, skąd nocami dokonywali napadów na podróżnych, ograbiali ich i zabijali, i w ten sposób się bogacili. Znikali tak samo zagadkowo, szybko i skrycie, jak się pojawiali. Nikt nie wiedział, skąd przybywali i dokąd znikali. Kiedy

* W czasach, w których żyła autorka i w których rozgrywa się akcja powieści, termin „Romowie” jeszcze nie istniał. Decyzja o stosowaniu określenia „Cyganie” wynika z chęci zachowania autentyczności historii. Wyrażamy najwyższy szacunek wobec społeczności romskiej, bogactwa jej tradycji i kultury (przyp. wydawcy).

gdzieś się zatrzymywali, zapalali nocą wielkie ogniska. Tym samym zawiadamiali okoliczną ludność o swojej obecności. A w dzień rozchodzili się pojedynczo po wsiach. Tu poprosili o jałmużnę, tam popytali, czy nie trzeba zreperować ubrania lub naprawić naczyń... Gdzieś powrózyli, a jeszcze gdzie indziej zagrali na skrzypcach czy cymbałach za kawałek chleba albo starą odzież... Na zboczach zaś czarodziejskie ziele zbierali... No i, jak już było wspomniano, napadali na podróżnych... I wszystko w pośpiechu, jakby w przelocie, mimochodem.

Tym razem pojawili się we wsi u podnóża Czabanicy i poprosili o zgodę na tydzień postoj. Na tyle im nie pozwolono, pobyt skrócono do połowy. I w tych oto kilku dniach zaszło pewne zdarzenie, które na długo miano zapamiętać. Cygańskich wozów było pięć, a każdy z nich przykryty był zakurzonymi płachtami. Z wozów wyglądały stare i młode Cyganki o odpychających twarzach i długich czarnych włosach, obok nich widniały też dziecięce główki.

Wozy były zaprzężone w konie i osły. Po obu stronach zaprzęgów i z tyłu za nimi szli mężczyźni o czarnych błyszczących oczach i rozglądali się ciekawie dokoła.

Jak już powiedziano, przybysze rozbili swoje namioty opodal wsi u podnóża Czabanicy, niedaleko rzeki, i od razu tego samego wieczoru rozniecili wielkie ognisko.

Trzeciego dnia po przybyciu taboru w jednym z namiotów podniósł się okropny zgiełk, który nie ustawał przez dwa dni. Otóż trzeciej nocy po rozbiciu obozu młoda Mawra, żona wójta o imieniu Radu, który stał na czele taboru, powiła dziecko... Białego synka. Rozwścieczony „ojciec” oburzył się na nieszczęśnicę, zaczął jej wymyślać, zagroził pobiciem za zdradę. Matka biednej Mawry była najstarszą kobietą w taborze, a zatem, wedle cygańskiego zwyczaju z racji wieku, najbardziej szanowaną przez Cyganów. Stara matka broniła córki, miotała się między

jej posłaniem w namiocie a Radu, dziko krzyczała i rzucała przekleństwa. A tymczasem niemal wszyscy mężczyźni stanęli po stronie zdradzonego męża, ich wójta. Mawra okryła hańbą całą społeczność czystej cygańskiej krwi, wydając na świat pierworodnego o białej skórze. „Żebyś ty rana nie doczekała!” – grzmieli i wymyślali położnicy od najgorszych. Wtórowali w ten sposób rozjuszonemu „ojcu”, ich wójtowi, który wprost kipiał ze złości. Zarazem czuł się śmiertelnie obrażony, żądał zemsty i wygrażał pięścią, miotając się w tłumie Cyganów. Wszyscy zebrawali się obok namiotu przestępczyni i jak jeden mąż za swoim wójtem powtarzali: „Swego pierworodnego syna!...”.

– Skąd się wziął ten biały pies?! – Radu rzucał się co pewien czas do obolałej żony, która leżała półprzytomna w wozie na poduszkach, przykryta łachmanami. Tulila do siebie niemowlę, osłaniając je przed błyszczącym dzikim, rozwścieczonym spojrzeniem męża, oniemiała ze strachu przed tym, co w każdej chwili mogło się zdarzyć.

Wolała umrzeć niż dożyć takich czasów. Wolała umrzeć, ale cóż z tego! Nieszczęśnica nie otwierała ust, nie mówiła ani słowa. Omdlewała ze strachu...

Tymczasem Radu, dużo od niej starszy, był wystrojony w jakieś granatowe ubranie z wielkimi srebrnymi guzikami i brzęczącymi ozdobami. W dłoni trzymał posrebrzany gruby kij, symbol władzy wójta tej niewielkiej społeczności, i powtarzał wciąż to samo:

– Skąd je wzięłaś?! Ale ja ciebie nauczę moresu, ja ci pokażę, kto to Radu i czyją żoną byłaś! – I zaczął od nowa, szarpiąc ją za włosy tak mocno, że biedna aż jęczała. – Poczekaj, ja ci pokażę! Nie miną trzy dni, a i twojego ducha nie stanie w moim namiocie, a ten pomiot przeklęty – wskazał przy tym dziecko – wyrzucę aż za siódmą górę. Myślałaś, że wyjdiesz za mnie, a potem okryjesz wstydem mnie i całą moją wspólnotę?! Giń,

suko, jeśli nie doceniłaś swojego szczęścia i nie wiedziałaś, jak się ma zachowywać żona wójta. Patrzcie! – wycodził groźnie przez zęby. – Patrzcie! Jakiego syna po trzech latach od zamęścia na świat sprowadziła! – I zarechotał, splunąwszy przez zęby. – Masz jeszcze tyle szczęścia, że leżysz tutaj, wśród nas, bo ojciec twój to Andronati, a matka jest najstarsza w gromadzie, bo inaczej nie ścierpiałbym i trzech dni z tobą w moim namiocie! – Tupnął wściekle nogą i ponownie splunąwszy z pogardą, wyszedł na zewnątrz.

Mawra zanurzyła swe cienkie smagłe palce we włosy nad niskim czołem i lekko nimi szarpnęła. Z jej młodych piersi wydobyły się rozpaczliwe jęki bólu i zarazem głębokiego żalu... A potem zamilkła i zacisnęła mocno obolałe powieki, spod których spływały gorące łzy. Wielkie srebrne monety, wplecione w jej czarne włosy, zsunęły się niespodzianie, jakby same z siebie, aż na czoło i utworzyły przedziwną magiczną ozdobę wokół jej smagłej twarzy jakby odlanej w brązie.

Była letnia noc, jasna i spokojna. Ciemne, porośnięte lasem góry wznosiły się ku niebu jak olbrzymy, a najwyższe szczyty zdawały się rozplýwać w księżycowym blasku i przezroczyściej nocnej mgle...

Wokół wielkiego ogniska zebrali się sami mężczyźni. Radu dołączył do swoich Cyganów. Leżeli albo siedzieli, palili fajki i rozprawiali o tym, co się stało, podczas gdy kobiety i dziewczęta zajmowały się codziennymi sprawami. Opodał, przy drugim mniejszym ognisku, przygotowywały posiłek, krzątały się przy dzieciach, karmiły je, układały do spania. A przy tym bez ustanku gorączkowo zastanawiały się nad dalszym losem pięknej, młodej Mawry. Od dawna zazdrościły jej srebrnych i złotych naszyneków, jakimi obdarował ukochaną wójt Radu, gdy wybrał ją sobie na żonę. Zazdrościły jej też, bo zarabiała najwięcej z nich wszystkich, wróżąc

i prostym ludziom, i panom. A teraz... po trzech latach od zamęścia... powiła swojemu ślubnemu białego syna o niebieskich oczach! Tfu!

Podszedł Radu do wielkiego ogniska i rzucił na ziemię kapelusz o szerokim rondzie, nie wypowiedziawszy ani słowa.

– Radu! – odezwał się stary Andronati, ojciec młodej przestępczyni, która miała zaledwie dwadzieścia lat. – Radu, co chcesz zrobić? Wiem, że Mawra jest winna, i wiem, co nasz zwyczaj nakazuje czynić za zdradę, jakiej dopuści się żona. Wiem też, że jeśli nie ukarzymy jej my sami, to ukarze ją jej grzech, a może i jeszcze coś gorszego. Ukarze ją teraz, od razu, a może po dwudziestu latach, a może i później, ale ukarać musi. Co chcesz uczynić? Mawra jest winna. – I z tymi słowami pokornie schylił głowę przed wójtem.

Radu nic nie odpowiedział, ale zamiast tego szarpnął na piersi swój granatowy beżrękawnik i zdjął z szyi mały woreczek.

– Zróbcie miejsce! – krzyknął. – I uważajcie!

Cyganie ruszyli się, w milczeniu zrobili miejsce młode-
mu wójtowi i posłusznie umościli się wokół niego, wielce zaciekawieni. Radu tymczasem potrząsał głową wściekle i dumnie jak sam władarz nocy... Jego czarne włosy, długie i kędzierzawe, będące oznaką wolnego człowieka, spadały mu luźno na ramiona. Sięgnął do woreczka, wyjął z niego pełną garść błyszczących czerwonoćwów, cisnął je na ziemię, jak przedtem kapelusz, i krzyknął:

– Oto po raz pierwszy temu...

Powtórzył czynność i znowu krzyknął:

– Oto po raz drugi temu...! A to po raz trzeci temu, kto przepędzi w dwa dni zdrajczynię, żebym jej na oczy nie widział! A wraz z nią tego jej białego psa!

Wśród Cyganów zapanowała cisza, ale nie na długo. Zaraz wszyscy się poruszyli, jakby brzęknęły struny basowe, zaszeleściły liście.

Każdy wiedział, że za zdradę w ich wspólnocie należy się bardzo surowa kara, ale nigdy jeszcze nic takiego jak tej nocy u nich się nie zdarzyło. Takie coś jeszcze nigdy...

Tyle razy dochodziło między nimi do bijatyk! Tyle rozbojów wspólnie dokonali! Ale jeszcze nigdy się nie przydarzyło, by sam wójt stanął wśród nich i nakazał im pozbyć się swojej żony. A płacił czystym złotem! Takiego czegoś nigdy dotąd nie było. To mógł wymyślić tylko zawzięty, oszalały z zadrności Radu. Taką miał naturę.

W pierwszej chwili nie mieli pojęcia, co powiedzieć, co począć. Zbyt niespodziewanie zważyło się na nich to straszne postanowienie wójta. Zatrwożeni Cyganie trwali więc w milczeniu.

Ale cisza nie trwała długo. Z ziemi podniósł się stary ojciec Andronati, wysoki, chudy, brodaty Cygan, pierwszy muzykant wśród nich. Nawet i teraz trzymał skrzypce w dłoniach.

– Czekał, Radu... – rzekł i podniósł rękę, rysując w powietrzu luk. – Czekał no, Radu. Nad nami wszystkimi czuwa Bóg, a my wszyscy jesteśmy jego dziećmi, i biali, i Cyganie, i Radu, i Mawra. Ty na jej los...

Radu chciał przerwać staremu, wyrzucając z siebie dzikie przekleństwo, ale Andronati, nie zważając nań, mówił dalej:

– Ty, Radu, byłeś jedynym synem swojego ojca, wójta w Siedmiogrodzie, a Mawra to jedyne dziecko moje, sławnego grajka Andronatiego z puszczy*, i się pobraliście. Dlatego ty dla mnie jesteś tym samym, co Mawra, a Mawra tym, co ty. Nie pozwolę ci wypędzić jej czy zabić, tak jak tego chcesz. Wiem, że nasze obyczaje nakazują surowo osądzić za zdradę

* Bezleśny obszar na Nizinie Węgierskiej (ten oraz kolejne przypisy pochodzą od tłumaczki).

męża czy żony. Ja jednak nie pozwoliłbym ciebie zabić, nawet gdyby ktoś tego zażądał w imieniu prawa. Osądzimy Mawrę inaczej, po dobremu, po ludzku. Pozwól jej zostać z nami jeszcze ze trzy dni, proszę ciebie o to ja, ojciec Andronati! – powiedział i uklonił się młodemu watażce.

– Ona jest przeklętą zdrajczynią, żeby jutra nie doczekała! – Przerazające słowa wzburzonego męża wyrwały mu się prosto z piersi. Radu kipiał gniewem.

– Może i nie doczeka – odezwał się stary Andronati. – Ale ty za bardzo nastajesz na jej życie. Sama odejdzie od nas na zawsze, żebyś wiedział, a twoje złote dukaty zostaną u ciebie.

– Niech idzie, niech idzie! – podniósł się hałas wśród Cyganów. – Wstydu nam narobiła. I to wtedy, gdy wydała na świat swojego pierwszego syna. A co będzie dalej, jakie będzie jej następne dziecko? Precz z nią! Niech się stąd wynosi, sama sobie drogę wybrała! – zawołał ktoś z zebranych. – Precz z nią!

– Nie, zabić, żeby kogoś innego sobie nie znalazła! – sycał Radu. – Zabić!

– Za trzy dni Mawry już tutaj nie będzie – odezwał się znów Andronati. – Jej los przesądziło samo dziecko. Rozszarpalibyście je na strzępy, gdyby Mawra z nami została. Każdy by jej dołożył. A tak... ona stąd odejdzie, zniknie z oczu i wam, i Radu.

– Sam ją ukarzesz? – zapytał ponownie ktoś spośród Cyganów. Był to głos cymbalisty, towarzysza Andronatego.

– Sam.

– To bierz złoto!

– Nie, zostawiam je wam. Weźcie je sobie. Jesteście młodszy ode mnie. Ja czerwońców nie potrzebuję. Mawra od teraz jakby już nie moja. Złota nie potrzebuję. A chleb dla siebie i mojej żony zdobędę. – Wyciągnął przy tym dumnie skrzypce przed siebie, grożąc pięścią w stronę młodszego od siebie wójta.

– A co ze szczeniciem twojej córki? – zapytał Radu. Wyprostował się dumnie i rzucił nienawistne spojrzenie na odważnego teścia. – Ja go nie potrzebuję. Zabiję, zdepczę jak gadzinę!

– Nim się nie martw. Biorę to na siebie. Ono... – Nagle urwał w pół słowa. Z jednego z namiotów wynurzyła się podobna do zjawy stara matka Mawry i stanęła jak wryta. Wyglądała strasznie z potarganymi włosami i naszyjnikami ze srebrników, które zamigotały na jej piersiach w blasku księżyca. Kobieta rzuciła się do nóg Radu i Andronatii.

– Przebaczone Mawrze, jeżeli zgrzeszyła, nie niszczone jej, młodej, poddajcie ją chłóście, niech cierpi, ale nie pozbawiajcie jej życia! – lamentowała na cały głos zrozpaczona matka, błagalnie rozpościerając ramiona. – Och, Mawro, Mawro, coś ty narobiła? Co ci się przytrafiło? Jaki zły wiatr zwiódł cię na manowce? Skąd zawiał? Z dołu czy z gór? Mawro, córeczko moja... serce moje... Mawro! – biadoliła nieswoim głosem. – Przecież ja ciebie, córuniu, w świetle księżyca w ziółkach kąpałam, prawie każdej nocy błagałam o szczęśliwy los dla ciebie. Od małości miodem cię żywiłam, przed złymi spojrzeniami chroniłam, dopókiś się nie wydała... jak przed ogniem cię chroniłam. Ale nadeszła zła godzina, a wraz z nią nadszedł i twój wróg... I oto... och, ratujcie, zmiłujcie się... dajcie mnie ją choć na kilka dni, chociaż do puszczy... pozwólcie mi ją odprowadzić, a potem zabijajcie, ale razem ze mną... – I runęła ciężko na ziemię.

– Idź stąd, stara! – zawołał Andronati. – Czegoś tu przylazła? Żeby cię pobili? Już zapomniałaś? Nie licz na swoją siwą głowę. Precz stąd, mówię do ciebie. Precz, tu są sami mężczyźni, nie widzisz? Obradują. Teraz Radu i ludzie sądzą. Powiedz swoje ostatnie słowo, zanim ja swoje wypowiem! – Ponownie zwrócił się do wójta: – Pozwól, by Mawra jeszcze chociaż cztery dni z nami pobyła, żeby

na tyle wydobrzała, by jej ojciec zagrał dla niej pośród was wszystkich po raz ostatni. By ją pożegnał. Tedy... chociaż... wybacz, rób, co chcesz, twoja wola, naczelniku. – I tak jak przedtem pochylił z pokorą głowę.

– Nie przebaczę Mawrze, nie chcę jej więcej na oczy widzieć. Życia wspólnego nie będzie! – odezwał się z zaciętością Radu. – Sama sobie jest winna.

– Sama... sama... – podchwycili unizonym szeptem Cyganie. – Sama, nikt, tylko ona!

– Czy to twoje ostatnie słowo, Radu? – zapytał Andronati, a stara matka zabiadoliła ponownie, szarpiąc mocno palcami swoje siwe włosy.

– Ostatnie.

I powtórzył to samo, co mówił wcześniej, gdy rzucił na ziemię garściami czerwonce.

– To po raz pierwszy temu... To po raz drugi temu... To po raz trzeci temu, kto za cztery dni uwolni mnie od tej przeklętej zdrajczynie. Słyszycie, co powiedziałem?

– Słyszemy.

Przy tych słowach muzykant Andronati się wyprostował. Powiódł wokół dziwnym spojrzeniem. Straszliwy ogień pałał w jego czarnych błyszczących oczach.

Wsunął skrzypce pod pachę i rzekł:

– Idę. Pojutrze wieczorem wrócę. Znowu będziemy razem. Bywajcie zdrowi.

Po czym nachylił się do żony. Stara Cyganka nadal leżała plackiem na ziemi, prawie odchodziła od zmysłów z żalu. Andronati zawołał:

– Czego szalejesz? Idź do Mawry. Nikt dzisiaj nie odważy się jej tknąć, pojutrze wieczorem stąd odejdzie, a ty za nią odpowiadasz. Ja idę i wrócę. Pojutrze wieczorem zbierzcie się w kręgu, jak teraz, i czekajcie. Andronati wróci, ale zła

nie przyniesie. A wy się w tym czasie naradzicie, który z was pozbiera czerwońce za pozbycie się Mawry. No to idę...

I poszedł.

Powrócił na trzeci dzień.

I znowu Cyganie umościli się przy ognisku, tworząc duże koło. Między nimi siedział Radu. Błady, niespokojny, podobny do diabła. Chwilę wcześniej pobił się z matką swojej cierpiącej żony, po czym stara wypędziła go z namiotu Mawry.

Rzecz niespotykana wśród Cyganów! Kobieta podniosła rękę na mężczyznę, na dodatek matka Mawry! Tej zdrajczyni!

Ale on nauczy je rozumu. Wszystkie. Stare i młode. Zdrajczyni będzie bronić? On jej pokaże. Starej i...

Do siedzących w kręgu Cyganów podszedł Andronati, w rękach trzymał skrzypce.

Towarzyszył mu przyjaciel cymbalista. Andronati oddał przyjacielowi skrzypce, a sam wyciągnął wielką, pękatą butelkę z gorzałką i postawił ją pośrodku koła.

– Pijcie, bracia, szczerze was zapraszam! – zawołał. – Pijcie i nie żałujcie sobie. Andronati żegna się właśnie ze swoją Mawrą, zapamiętajcie ten wieczór! Mawro! – wykrzyknął i walnął pięścią w pierś. – Mawro! – Nagle żal ścisnął mu gardło, a głos zadrżał. – Nie zasłużyłaś, kukułeczko, aby być tutaj z nami... Ale nie jesteś tam sama. Obok ciebie jest twoja matka i są wszystkie żony wasze, bracia moi... Żeby ona, moja córeczka, nie wiedziała, że jutro to jej ostatni dzień, który spędzi tutaj z nami. Ale Andronati – ciągnął, zwracając się w stronę namiotu – żegna się z tobą, kukułeczko, przed obliczem jego druhów i twojego męża, wójta, aby to pojęli. Zapamiętajcie, bracia... – Jego głos znowu zadrżał i stopniowo zamarł. – Dorzucicie świerczyny do ognia! – krzyknął naraz stanowczym, zdecydowanym tonem, jakby te słowa dodały mu pewności siebie. – Żeby się rozniecił,

igrał światłem, rozpromieniał całą górę, pałał, powiadam wszelako: Mawra z Cyganami się żegna. Pijcie i nie żałujcie sobie! Ogień podsycajcie, płomienie rozdmuchujcie, żeby od dziś oblewały światłem duszę Mawry, gdy będzie daleko od domu. Pijcie, bracia! Pijcie, zaprasza was muzykant Andronati. Pijcie, nie żałujcie sobie. Kto wie, dokąd nas los rzuci i czy Andronati będzie jeszcze z wami. A Mawry wśród was nie będzie... I Andronatiego biednego też nie... Ot i wszystko... Każdemu jest co innego sądzone, a tak dobrze jej się układało... Pijcie!

I chodził Andronati, i zapraszał. Innym dolewał, a sobie jakby zapominał dolewać. Tylko lży dłonią ocierał.

Radu leżał na ziemi, podparłszy głowę łokciem. Zaciął się, nie odzywał się do nikogo, jakby był tu tylko on jeden.

Jemu pierwszemu podał Andronati mały srebrny kieliszek. Ten kieliszek był bardzo cenny, przechodził z rodziny na rodzinę jak rzecz święta. Radu wychylił go i się zadumał. Myślał o Mawrze. Czuł się tak, jakby stracił rozum. Co mu teraz po niej? Gdy ją brał, zapewniała, że kocha, a potem zdradziła go... A do tego z kimś spoza ich bractwa. I on, Radu, już się domyślał z kim. Tam, w małym węgierskim miasteczku, niedaleko puszczy, gdzie czasem przebywali i gdzie jej ojciec często zarabiał graniem na skrzypcach, a ona wróżyła i śpiewała przy ich akompaniamencie, a niekiedy i tańczyła... Był tam jeden młody bojar*, który słono płacił za cygańską muzykę, a nieraz z innymi, blisko ich namiotu, pędził konno jak wichur do puszczy. To z nim... Dlatego Radu już jej nie chce. Co z tego, że była piękna, że umiała wróżyć najlepiej, że była młoda, że była córką sławnego wśród Cyganów Andronatiego... Radu już nie chce

* Wielki właściciel ziemski na Rusi i Wołoszczyźnie.

takiej żony. Rzucił złoto swoim ludziom. Niech zrobią z nią, co zechcą. Zabiją lub gdzieś wywiozą i porzucą. Było mu to obojętne. Pragnął się tylko zemścić. Chciał, żeby zesła mu z oczu. Żywa czy martwa. Wszystko jedno. Bo nigdy już nie będzie między nimi zgody. A z jej powodu nie zostawi swojej gromady, żeby tylko nie musieć jej oglądać. A więc to ona musi zejść mu z oczu. Jak? Wszystko jedno. Już była mu obojętne. Chyba że... żeby chociaż ją bił... a zresztą i tak była już mu obojętne.

Obojętne? Gdy tak myślał, jego chmurne spojrzenie ukradkiem, jak złodziej, zatrzymało się na namiocie, w którym przebywała winowajczyni. I jęło świdrować ten namiot.

Obojętne?

Przekłęta! Zdradziła. Zdradziła go. Jego. Pierwszego wójta wśród cygańskich gromad zdradziła.

Ludzie wokół niego pili, cicho rozmawiali. I o Mawrze, i o nim. W jednym się zgadzali, o coś innego się kłócili. Wtrącały się też kobiety. Musiał z nimi pić, chociaż było mu gorzko na duszy, a w środku płonęło tak, jak płonęła ruda, wyschnięta świerczyna, która trzeszczała, gdy dorzucano ją do ognia.

Tak samo płonęło w jego piersiach. Ale musiał tutaj być.

Po raz ostatni musiał zrobić wszystko, co trzeba. Dla siebie, dla ludzi i dla Andronatego, którego wszyscy bardzo szanowali.

Nagle dostrzegł jakiś ruch.

Andronati po raz ostatni obchodził wszystkich dookoła. Częstował trunkiem, polewał, nie szczędził ani kropli, prawie każdemu nalewał po sam wierzch. A potem wyciągnął skrzypce.

Wreszcie się wyprostował.

– Ludzie! – krzyknął. – Cymbały, fujarki w ręce, a kto gra tak jak ja, to i skrzypce. Mawro! – zwrócił się w stronę

namiotu, w którym leżała córka. – Mawro! Pożegnaj się z Radu. Jutro o tej porze już cię z nami nie będzie. – Pociągnął smyczkiem po strunach. Potem pochylił głowę nisko nad skrzypcami, jakby usłyszał tajemny pojedynczy dźwięk przeznaczony tylko dla niego, dźwięk wydobywający się z twardego wnętrza instrumentu, i zagrał.

Grał i się żalił.

Pląkały skrzypce, brzęczały cymbały, drżały fujarki, a nad tym wszystkim królowała jedna jedyna struna skrzypiec Andronatego. Ach, te skrzypce! Rzucały się żalonym jękiem, błędziły dźwiękiem, rozplywały się smutkiem, wyrwały spomiędzy Cyganów i wciąż o Mawrze i Radu opowiadały.

I znowu ten żal...

Żaliły się skrzypce i drżały jak delikatne pszczołki. Miotaly się, wpijały w duszę, plotły tęsknotę i smutek, plawiły się w nieszczęściu.

Andronati grał doinę*.

– Mawro! – wołał od czasu do czasu rozpaczliwie, nie mogąc znieść rozdzierającego żalu, i tupał nogą. – Mawro! – Grał, kołysząc się całym ciałem jak pomyłony. – Mawro! To twój ojciec gra... Andronati gra po raz ostatni dla ciebie wśród Cyganów, jutro może już go nie usłyszysz! Mawro!

Radu leżał twarzą do ziemi. Był owładnięty jedną myślą, poddał się jednemu uczuciu. Zdradziła go. Zdradziła, i on nigdy jej nie tknie, chyba żeby zrobić jej coś złego. Zabić. Zabije. Inaczej nic byłby niewart, taką miał naturę. Niewart. Niewart. Głos skrzypiec uczeplił się, jak się zdawało, wyłącznie jego duszy, rozoranej bólem i spragnionej zemsty. Jako ta osa raz po raz przysysała się do niej, jątrzył. „Białe dziecko powiła, dziecko obcego mężczyzny, obcego!” Skrzypce drżały od jęków,

* Rumuńska liryczna pieśń ludowa, zbliżona do dumki ukraińskiej.

użalały się cymbały: „Obcego, cudzego jakiegoś...”. Te jego myśli, uczucia żalu i zazdrości doprowadzały go do szaleństwa. Radu zdawało się, że traci rozum. „Jakieś białe dziecko... po trzech latach od zamęścia... Mawro! Bądź przeklęta za twoją zdradę, całe nieszczęście spadnie na twoją głowę!”

Księżyc w pełni wyjrzał zza wysokiej zalesionej góry. Lśnił nieruchomo.

– Radu! – Nagle wydało mu się, że słyszy głos Mawry. Roztrzaskane skrzypce Andronatiego znalazły się tuż przy jego głowie. – Radu! – Młody Cygan zadrżał na całym ciele, stary Andronati zwałił się obok niego na ziemię.

– Mawro, Ma-w-ro! Żegnamy ciebie na wieki, na... wieki – zaczął, a po długiej chwili milczenia przemówił: – Śpijcie, ludzie, śpijcie. Tę noc prześpijcie jeszcze obok niej, a jutro uczynicie to, co uważacie, skończycie z nią. Ten, kto zabrał czerwońce, niech weźmie jej duszę albo i ją samą. Czy nie tak, Radu?

– Tak – usłyszał zachrypnięty głos wójta.

– Tedy z powrotem do puszy, szerokiej, bezbrzeżnej puszy. Uh-ha, puszysta! Uh-ha! – huczał dzikim głosem muzykant. – A dzisiaj jeszcze śpijcie. I razem z wami stary Andronati. – Usiadł, podkulił nogi, zanurzył palce we włosy i gorzko, rozdzierająco zaszlochał. Musiał się rozstać ze swoją Mawrą, nie miał wyjścia. Za zdradę zawsze należała się surowa kara. Za zdradę, której dopuściła się zwłaszcza kobieta, a tym bardziej żona wójta! On najlepiej rozumiał, co ona uczyniła, tedy musiała to być jej ostatnia noc wśród swoich, wśród Cyganów. – Śpijcie, ludzie... – błagał i modlił się. – Śpij, Radu. Patrzcie, wszystko znieruchomiało. Jeżeli tak było sądzone, niech i tak będzie. Księżyc jest świadkiem, brat księżyc, wierny druh, który zawsze jest z nami. Śpijcie, ludzie, śpij, Mawro, śpij, Radu, młody osierocony wójcie-atamanie. Wszyscy jesteście moimi dziećmi. Cicho sza, niechaj ona ostatni raz dobrze się wyśpi

pośród nas. Śpijcie. Śpij, Mawro. Śpij, Radu. Czeka na nas jeszcze tylko puszcza... Obszerna głucha puszcza. Cicho sza... cicho sza... śpijcie... Mawra... śpi... cicho sza... śpijcie...

Wszystko ucichło.

Wszyscy spali.

Było około pierwszej w nocy. Tej właśnie nocy Mawra, młoda i piękna żona wójta Radu, miała opuścić jego namiot ze swoim białym synem. I zejść atamanowi z drogi na wieki.

Radu i Cyganie spali jak zabici. Ale nie wszyscy. Dwóch z nich opuściło legowiska z kocią zwinnością. Byli to Andronati i jego wierny druh, muzykant cymbalista, który nigdy się ze starym nie rozstawał. Obaj zmówili się poprzedniego dnia, że nie będą pili tyle co inni. Gdy już wszystkich zmorzy sen, wyniosą Mawrę z namiotu razem z dzieckiem. Tak uwolnią ją z rąk Radu i ochronią przed śmiercią lub przynajmniej przed okaleczeniem. Wyroki cygańskiego wójta bywały nieraz przerażające. Pobratymcy naradzili się między sobą i zdecydowali, że nikogo nie wtajemniczą w swoje zamiary. Nie upłyną cztery dni, a sami wyprowadzą Mawrę z namiotu i uratują ją przed złem, a może i przed śmiercią. A gdy już się znajdzie poza taborem, będzie bezpieczna – tak sądzili. Mawra była mądra i chytra, na pewno da sobie radę w życiu. I kiedyś znowu się spotkają. A jej dziecko miał podrzucić Andronati jakiemuś bezdzietnemu bogaczowi... Może gdzieś tam, w jednej ze wsi za górą Czabanicą, i wszystko będzie dobrze. Lepsze to, niż miałyby zginąć lub na zawsze pozostać kaleką. Przeklinając swoich wrogów, Radu miał w zwyczaju życzyć im kalectwa, a tego właśnie obawiał się stary muzykant.

I gdy wszyscy wreszcie posnęli kamiennym snem na skutek szczodrego częstowania się trunkiem zmieszonym z ziołem usypiającym, które Andronati zbierał w górach przez dwa dni, obaj towarzysze wynieśli z namiotu Mawrę i jej dziecko.

Mawra, młoda i piękna, jedyne dziecko skrzypka Andronatego, nie mogła zginąć jak jakieś zwierzę. Ona musiała żyć. Żyć jak najdłużej wśród dobrych ludzi, jak najdalej stąd. Świat jest długi i szeroki, Bóg karmi wszystkich, nakarmi i ją. Gdyby została przy Radu, mściłby się na niej przez całe życie, jak tylko by wydobrzała. Złą naturę przejął po swym sławnym ojcu, wójcie Cyganów z Siedmiogrodu. Radu był złośliwy, mściwy jak śmierć, mimo że piękny jak księżyc i ponad swój wiek mądry.

Mawra spała jak zabita, tak samo upojona zieleń. Kiedy ojciec i cymbalista wynieśli ją z namiotu, niczego nie poczuła. I tylko księżyc i gwiazdy były świadkami tego, co się działo, nikt więcej.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas




bukowy.las

www.bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



Urodziwa męzatka Mawra wikła się w romans z młodym bojarem. Gdy ich związek wychodzi na jaw, kobieta zostaje wykluczona ze swojej społeczności i mierzy się z licznymi trudnościami.

Po latach ma miejsce zupełnie nowa historia miłosna... czy równie tragiczna? Opowieść osadzona w malowniczych lasach, na górze Czabanicy, okraszona dawnymi wierzeniami, magiczną mocą ziół i elementami cygańskiego folkloru.

Nr 21000083

ISBN 978-83-8074-469-1



9 788380 744691



bukowylas.pl

Cena: 49,90 zł